ROK II. GRUDZIEŃ 1930 NR. 12

PRZESZŁOŚĆ

CZASOPISMO HISTORYCZNE DLA WSZYSTKICH

WYCHODZI CO MIESIĄC POD REDAKCJĄ PIOTRA ŻUKOWSKIEGO

Najmniej znany dyktator.

Najmniej znanym dyktatorem jest portugalski prezydent generał Carmona. On celowo ukrywa się w cieniu. Niepokaźny, milczący, uprzejmy, uśmiechnięty, ogromnie taktowny i wstrzemięźliwy, nigdy nie powie „Ja", zawsze „My". W kraju zdemoralizowanym, w społeczeństwie miłującem luksus i życie nad stan, odznacza się spartańską prostotą. Jest wychowawcą narodu; zaimponował wszystkim, gdy zrzekł się wszelkich innych pieniędzy oprócz poborów generalskich. Po za armją jest mało znany osobiście, nie wzbudził ani miłości, ani nienawiści, nie stworzył potężnego stronnictwa na wzór faszystów czy komunistów; nigdy nie przemawiał do tłumów z balkonu, nie wydawał odezw we własnym imieniu. Stanął na czele armji, która postanowiła ratować honor zachwianego w posadach kraju i stworzył system władzy tak wszechmocnej, jak w Rzymie cezarów. Portugalja w w. XX nie miała spokoju. Po zamordowaniu króla Karola w r. 1908 wybuchła rewolucja przeciw jego synowi, który uciekł do Anglji. Republika staje się zdobyczą demagogów, stosujących teror. Prezydenci jeden po drugim są obierani i zrzucani, dyktatorzy zjawiają się i giną od ręki mordercy. Powstają stowarzyszenia tajne, np. karbonarjuszów. Nawet podczas wojny światowej, w której Portugalja bierze udział, barbarzyńska walka nie ustaje. Dyktator Sidonio Pais, który w imieniu armji objął władzę, został zamordowany; podczas jego wspaniałego pogrzebu, raz po raz wybuchały bomby w różnych miejscach Lizbony, jako ostrzeżenie dla przyszłego dyktatora. Głównem zadaniem Carmony było zmiażdżenie zawodowych polityków, ku którym jest pełen odrazy i nienawiści. „Ci ludzie, — oświadczył, — tworzą oligarchję na wzór średniowiecznych rycerzy. Armja, dążąc do odbudowy dawnej potęgi Portugalji, przedewszystkiem postanowiła zgnębić ich. W Afryce istnieją ludożercy Kassai. Nad naszym Tagiem, jak i w Kongo nie brak Kannibalów. Pod pretekstem obrony wolności oni przed niczem się nie cofają. Napełniają złotem swe kieszenie, rozdają dochodowe posady swym poplecznikom i rujnują kraj. Dokonaliśmy tego, że jeśli u nas jeszcze istnieją tacy ludożercy, to pędzą życie w ukryciu. Policja nazywa ich białemi mrówkami na wzór termitów Angoli, które nigdy nie wychodzą na światło dzienne, lecz prowadzą dzieło zniszczenia w ukryciu, póki przegryziony

przez nich gmach nie zadrży w fundamentach i nie runie". Zwycięstwo nad tą zgrają i ostateczne ich unicestwienie jest najważniejszem dziełem Carmony. Ludzie szkodliwi są wysyłani z kraju. *„Gdy wypada usunąć jednego z tych, którzy zasiewali wiatr, a teraz zbierają burzę, nie czynimy tego ukradkiem, w nocy; postępujemy z wytworną grzecznością. Gdy się zjawia na przystani, uszeregowani żołnierze prezentują broń; umieszczamy go w najlepszej kabinie i wyprawiamy do najpiękniejszych nasyzch kolonij, do Angoli lub na Maderę. Gdy się przekonamy, że osobnik przestał być niebezpiecznym i zmienił poglądy, pozwalamy mu powrócić. Zwykle obiecuje nam poprzeć pracę armji nad uporządkowaniem kraju. W ten sposób jedność armji stale się wzmaga. Dzienniki zagraniczne nieraz pisały, że bywam zadowolony tylko wówczas, gdy mam ręce skrwawione krwią ludzką. Jest to nieco przesadne twierdzenie"...* W Szkole Sztabu Generalnego Carmona wykładał strategję i zasłynął swą książką o strategji. Otóż i w walce politycznej używa metod bardziej skomplikowanych, niż niszczenie przeciwników; on woli ich przekonać i zjednać. Wyznaczony kiedyś jako oficer na obrońcę powstańców w sądzie wojskowym, wprawił w zdumienie wszystkich swą bezstronnością, umiarem i rozwagą. Był zawsze dobrym kolegą. Jako dowódca 4 dywizji otrzymał kiedyś w nocy zawiadomienie sądu wojskowego o uniewinnieniu kilku jego oficerów, oskarżonych o zdradę; chociaż była trzecia w nocy, wstał i ułożył rozkaz niezwłocznego wypuszczenia więźniów na wolność. Armja portugalska była najbardziej burzliwą w Europie. Carmona ujął ją w karby. Naród bardziej niesforny i kapryśny, niż Irlandczycy, poddał rządom dyktatorskim, lecz życzliwym i dobroczynnym. Jaki był początek tej władzy? *„Byłem na swem stanowisku w prowincji, gdy się zjawili oficerowie i oświadczyli, że wybuchła rewolucja, i że jestem potrzebny. Udałem się do Lizbony i utworzyłem nowy rząd. Jestem żołnierzem. Armja obchodzi mię nadewszystko. Mam władzę dla tego, że armja rozciągnęła opiekę nad krajem. Reprezentuję armję. To jest wszystko, co mogę powiedzieć."* Po utworzeniu jednolitej i jednomyślnej armji nie było trudnem skonsolidowanie kraju. Chociaż dyktator nie posiada tak potężnej siły, jaką jest faszyzm Mussoliniego, jednak przekonał większość społeczeństwa o zbawienności swych rządów. Podczas plebiscytu system jego otrzymał aprobatę. W ciągu dwu lat zdobył zaufanie kraju, który dopiero teraz zaczął się cieszyć spokojem i pracować produkcyjnie. Przed Carmoną stan republiki był okropny. Kapitaliści obawiali się czynić inwestycje w kraju i umieszczali pieniądze zagrancą. Przemysł i administracja upadały. Co rok niedobory budżetowe wytworzyły zadłużenie państwa w stopniu zatrważającym. Handel i transport zostały zrujnowane. Dobijały Portugalję hece polityków — drapieżników. Drogi były tak zniszczone, że jazda autem była na niektórych wręcz niemożliwa, na innych była męką. Carmona opowiada, że w r. 1926 ruszył autem na prowincję. *„Po długiej i uciążliwej podróży skonstatowaliśmy,*

że przebyliśmy tylko 30 klm. Od tego czasu używam auta tylko w mieście". Carmona umie odnaleźć i ocenić fachowość wśród działaczy cywilnych i wśród uczonych. Najwybitniejszym jego pomocnikiem jest minister skarbu Salazar, prof. ekonomji polit. On zreferował podatek dochodowy i w ciągu roku doprowadził budżet do równowagi. Komitet ekspertów Ligi Narodów, badający poprzednio finanse Portugalji orzekł, że taka reforma dałaby się urzeczywistnić po 3 latach wytężonej pracy. Przed Carmoną Salazar był nieznany. Demagodzy nie lubią fachowców. Dyktator tak ceni Salazara, że zatrzymuje go na stanowisku pomimo zmian w składzie rządu i broni go przed atakami. Jeden autor zjadliwego pamfletu przeciw Salazarowi został wydalony z kraju. Podobne traktowanie spraw gospodarczych przywróciło zaufanie kapitalistów i konserwatystów, którzy się przekonali, że dyktator ma solidną mieszczańską uczciwość i zdobył władzę, by utworzyć porządne rządy, a nie w celu rabunku. Zwolennicy i pomocnicy Carmony odznaczają się spartańskim trybem życia. W kraju szerzy się poczucie bezpieczeństwa i spokoju. Wszelkie mafje i bandyckie organizacje zniszczono. Oto co o nich mówi sam Carmona: „*Portugalja w r. 1920 podobna była do jakiegoś włoskiego miasta w epoce Renesansu. Były u nas przedsiębiorstwa, które za należną zapłatę formowały uzbrojone oddziały zbójów i polecały im wymordowanie osób wskazanych. Urządzanie zamachów i rewolucyj stało się zajęciem mnóstwa ludzi, których należy nazywać wszami rewolucyjnemi. Ci ludzie tworzyli uzbrojone oddziały, skoro wyczuwali nadchodzący przewrót i pomagali temu, kto drożej zapłacił. Po wygnaniu Don Manuela II tacy pomocnicy zostali uznani przez republikę, która hojnie wynagrodziła ich za pomoc podczas przewrotu. Od tego czasu wesz rewolucyjna zjawiała się przed nowym rządem po każdym udatnym przewrocie, i przypisując sobie zwycięstwo, wymagała haraczu. Myśmy odrzucili pomoc tych łotrów i spodziewamy się uleczyć kraj z tej choroby.*"

Ulubione zdanie Carmony o „dyktaturze bez dyktatora" odpowiada naogół rzeczywistości. Znaczna część społeczeństwa pogodziła się z cenzurą i brakiem parlamentu i zaufała niepokaźnemu człowiekowi o żywych oczach, przenikliwych i myślących, o twarzy, często okraszonej uśmiechem mądrym i dobrym.

St. Wesołek.

Odrodzenie szkoły polskiej w Wielkopolsce

DUCH SZKOŁY PRUSKIEJ.

Na ziemiach zaboru pruskiego nie zapanował system szkolnictwa niemieckiego, lecz wyłącznie system pruski.

Specjalnych ustaw szkolnych nie było. Sprawę nauczania publicznego zamknięto w „Allgemeines Landesrecht", którego poszczególne paragrafy obowiązują do dnia dzisiejszego.

Wprawdzie za rządów Księstwa Warszawskiego zmieniono przepisy pruskiego kodeksu w przedmiocie nauczania, ustawą z dnia 12 stycznia 1808 r., w sprawie urządzania

szkół wiejskich i miejskich, jednak po traktacie Wiedeńskim i objęciu rządów w Wielkopolsce przez Prusaków, przywróconą została moc przepisów „Landesrechtu“, którego paragrafy dotyczące ustroju szkolnictwa na ziemiach polskich obowiązywały bez większych zmian aż do czasu odzyskania niepodległości.

Niektóre przepisy obowiązują i dziś, naprz.: artykuł XII — § 6:

„Auf dem Lande und in kleineren Städten, wo öffentliche Schulanstalten sind, sollen keine Neben- oder sogenannte Winkelschulen, ohne besondere Erlaubniss, geduldet werden“.

Przepis ten nie jest ściśle stosowany z powodu istniejących szkół mniejszościowych.

Natomiast obowiązuje bez zmian § 3—5, §§ 7—8, 9—11, 18—21 itd.

Rząd pruski nie zdobył się nigdy na wypracowanie odrębnego systemu prawnego dla szkolnictwa swego. Istniał zlepek najrozmaitszych rozporządzeń, okólników, a zawsze mających ścisłą łączność z ustrojem politycznym. W niektórych wypadkach obowiązywało prawo zwyczajowe.

Ta łączność i zależność szkoły pruskiej od czynnika polityczno-administracyjnego jest charakterystyczną cechą pruskiego systemu szkolnego.

Na czele szkolnictwa stało „Kolegjum Szkolne“ jako wydział II. w Regierungsbezirk Posen. Prezesem był zazwyczaj prezes Regencji. Kolegjum składało się z czterech radców i prezesa.

Komisarzami Regencji byli Landraci, którym podlegało znowu szkolnictwo w powiecie. A więc: budowa szkół, finanse, higjena itd. Nadzór pedagogiczny sprawowali inspektorowie szkolni: Amtliche Kreisschulinspektoren i t. zw. Lokalschulinspektoren. Tymi ostatnimi byli zazwyczaj pastorowie ewangeliccy i księża katoliccy, zwykle Niemcy. (Spuścizna średniowieczna).

Ustawa z dnia 11 marca 1872 r., oraz instrukcja z 20 lutego 1901 mówi:

„...Sie haben über den gesamten inneren und äusseren Zustand der ihrer Aufsicht unterstellten Schulen durch widerholte Revisionen genau zu unterrichten. Für die Beseitigung der hierbei beobachteten Mängel haben sie entweder selbst — soweit ihre Befugnisse es zulassen — zu sorgen, oder die erforderlichen Anträge an den Kreisschulinspektor zu richten.“

Jak widać kompetencja ich była dosyć obszerna, skoro obejmowała prawo wizytacji kilku podległych sobie szkół, wydawanie oceny i przesyłanie jej do powiatowych inspektorów szkolnych, udzielanie urlopów, oraz udzielanie nagan.

Organem samorządowym był dozór szkolny, wybierany przez radę gminną. Kompetencja Dozoru polegała na opiece nad szkołą w zakresie administracyjnym.

Nauczyciel był traktowany jako „mittelbarer Staatsbeamter“, mianowany przez Regencję za zgodą gminy lub magistratu. Uposażenie nauczyciela wypłacane było częściowo przez rząd, częściowo przez gminę. Pozatem do każdej szkoły przywiązane było uposażenie w naturze: w każdej gminie inne, zależnie od hojności miejscowego samorządu.

Obowiązek uczęszczania do szkoły zaczynał się z ukończeniem 6-tego roku życia; art. 43 „Powszechnego prawa krajowego“, a kończył się wtedy... „gdy dziecko, według uznania swego duszpasterza, nabyło wiadomości potrzebnych każdemu rozsądnemu człowiekowi swego stanu“; — art. 46. Mogło zatem dziecko chodzić do szkoły 4 lub 8 lat, zależnie od tego, kiedy proboszcz uznał je za „rozsądne w swoim stanie“. Ile tego rozsądku, i jaką miarą mierzonego należało mieć w jednym, a ile w innym zawodzie — to miał wiedzieć proboszcz tylko.

Dopiero instrukcja z roku 1845 przewiduje czas trwania nauki od 6-go do 14-go roku życia. Zwalniano ze szkoły 2 razy do roku — na Wielkanoc i na św. Michała.

Szkoła zasadniczo była wyznaniową. Lecz *władze pruskie chętnie włączały mniejsze grupki dzieci katolickich do szkół ewangelickich. Nigdy zaś odwrotnie.*

Zasadniczym i powszechnym typem szkoły była jednoklasówka o jednym nauczycielu. W roku 1911 było szkół jednoklasowych 1861, a 6-klasowych zaledwie 64. Liczba dzieci uczęszczających do szkół powszechnych wynosiła w 1911 r. — 407 109; — w roku 1928 natomiast 246 288. Frekwencja w stosunku do czasów pruskich spadła o 65 proc.

Liczba nauczycieli w roku 1911 wynosiła 5819; — obecnie wynosi 5688. Specjalną uwagę należy zwrócić na *spadek frekwencji, spowodowany odpłynięciem wielu dziesiątek młodzieży do szkół średnich i zawodowych, do których Polacy wstępu dawniej nie mieli.*

Ciekawy jest również rozkład godzin i wybór przedmiotów nauczania: język niemiecki zajmuje 29 godzin tygodniowo; religja — 14, rachunki — 14, realja — 12, rysunki — 3, śpiew i gimnastyka razem 3 godziny tygodniowo. Brak geografji i historji, jako przedmiotów osobnych.

Przy nauczaniu t. zw. realjów potrącano o geografję, przyczem nigdy nie wychodzono po za granice Niemiec, a w historji — poza Hohenzollernów.

Nauka języka obcego była wykluczona!

Opierając się na tym przepisie, wydał prezes Regencji Poznańskiej swój sławny okólnik z 27 października 1873 r., zabraniający nauczania języka polskiego jako „języka obcego".

Wprawdzie zezwala się jeszcze na nauczanie religji w języku polskim, ale dalej art. 2 mówi:

„...Wenn die Kinder jedoch in der Kenntniss der Deutschen Sprache soweit fortgeschritten sind, dass ein richtiges Verständniss erreicht werden kann, so ist die Religion auf der Mittel- und Oberstufe als Unterichtssprache einzuführen."

Władze pruskie dbały o to usilnie, aby nawet najmniejsza osada nie była pozbawiona szkoły, a z drugiej strony baczono pilnie, aby poziom nauczania nie podniósł się zbyt wysoko, bo oświecanie w dodatniem słowa tego znaczeniu, nie leżało w interesie polityki pruskiej. Chciała ona, żeby nauczanie ludu było gruntowne, ale oświecanie skąpe i w wysokim stopniu tendencyjne.

W tym celu rozbudowano cały gmach szkolnictwa tak okazale, że w roku 1911 liczyło szkolnictwo pruskie 2992 szkoły ludowe o 5217 klasach; 5819 nauczycielach i 407109 dzieciach.

Było to narzędzie straszne w rękach germanizacyjnej polityki pruskiej, jeśli się zważy, że nawet obecnie, mamy o 476 klas, i o 150000 dzieci mniej.

Tak bogato rozbudowane na ziemiach polskich szkolnictwo pruskie, oprócz zadań oświatowych miało do spełnienia, jako zadanie naczelne, zniszczenie polskości!...

W zaciętej walce z polskością przeznaczył rząd pruski szkole jeden z najważniejszych odcinków frontu antypolskiego: — bój o duszę dziecka polskiego. Chodziło o przytłumienie w duszy dziecka miłości do języka i do zwyczajów polskich a przepojenie go szacunkiem dla potęgi pruskiej i mowy niemieckiej. Wyszydzano przy każdej sposobności język polski, jako zbyt grubjański i barbarzyński tak, że dziecko, koniec końcem, wstydzić się wreszcie poczęło swej mowy ojczystej.

Przystąpiono do walki z żelazną konsekwencją. Od roku 1887 język polski został zupełnie usunięty ze szkoły, nawet w nauczaniu religji, z wyjątkiem — pierwszego rocznika. Unikano wszystkiego, coby mogło przypomnieć dziecku polskiemu jego narodową przeszłość. Przez 8 lat uporczywie wbijano dzieciom w mózgi i serca:

„Ich bin ein Preusse und Preusse will ich sterben".

Samo pozbawienie polskości nie było celem ostatecznym, bo Polak, nie będąc Polakiem, mógł stać się tylko niczem a *musiał zostać Prusakiem... i to koniecznie!*

Główną zasadą, według której władze szkolne kwalifikowały pracę i uzdolnienie nauczyciela, były rezultaty, jakie dziatwa osiągnęła w biegłem władaniu językiem niemieckim.

Przeniesiono wielu nauczycieli - Polaków w głąb Niemiec. *W roku 1918 w szkołach średnich Poznania pracował tylko 1 nauczyciel Polak.*

W szkołach powszechnych zatrudnienie nauczycieli Polaków było koniecznością ze względu na wyznaniowość szkoły.

Jednak władze pruskie umiały wykuć z nauczyciela posłuszne narzędzie swej woli.

Polak, śledzony przez kolegów-Niemców, przez częste rewizje nękany, nie mógł zdradzić najmniejszego śladu pracy w duchu polskim. Nie mógł zaznaczyć swej osobowości narodowej nawet w życiu prywatnem. *Toteż często Polak nauczyciel starał się okazać bardziej lojalnym od swego kolegi-Niemca.*

Polacy prześcigali się w skrupulatności co do wypełniania przepisów szkolnych, a jednostki o charakterach słabych zasłynęły z prześladowania dziecka polskiego za mowę ojczystą.

Znam osobiście takie jednostki, o których bardzo poważni wieśniacy opowiadają, jak własne dzieci bili za mowę polską, a żonom swoim, mówiącym do dzieci po polsku, urządzali sceny.

„Polnisches Schwein!" — nieraz wypadło z ust nauczyciela-Polaka! Jednostki takie zdarzały się wprawdzie bardzo rzadko, ale wspomniałem o nich dla wykazania, jak pruska metoda umiała spodlić Polaka...

Na otwieranie szkół prywatnych władze pruskie nigdy zezwolić nie chciały, bo ustawa powiada: „Auf dem Lande und in kleineren Städten, wo öffentliche Schulanstalten sind, sollen keine Winkelschulen geduldet werden".

A ponieważ władze dbały o to, aby w każdym zakątku istniała szkoła publiczna, więc do zezwolenia na otwarcie szkoły prywatnej brakło zawsze prawnych podstaw.

Jak już wspomniałem, w szerzeniu oświaty elementarnej rząd pruski był bardzo szczodry, ale w szerzeniu oświaty głębszej niezmiernie skąpy. Stworzono system szkół wyższych i rozmieszczono zakłady przeważnie na pograniczu Brandenburgji, w okolicach o wybitnem zaludnieniu niemieckiem, aby ludność polska, skupiona w większych środowiskach centralnych, nie mogła tam dzieci swoich posyłać. Do tego utrudnienia trudność egzaminów i wysokie stosunkowo opłaty szkolne wstrzymywały większość od owej pozornej możności korzystania z nauki wyższej. Wyżej zorganizowane szkoły powszechne istniały przeważnie po miastach, gdzie żywioł niemiecki, stanowiący drobnych kupców, rzemieślników i niższych urzędników, opanował szkołę. Szkoły średnie zarezerwowano wyłącznie dla Niemców.

Widać z tego, jak Niemcy nawet najdrobniejsze posunięcie w polityce szkolnej celowo i na korzyść swoją w walce z żywiołem polskim wykorzystać umieli.

Przez pozbawienie ludności polskiej oświaty głębszej, przez podawanie jej tylko ochłapów tej oświaty, a tak zatrutej jadem, tak tendencyjnie fałszowanej, dążyli Prusacy do stworzenia uległej, ograniczonej i poniżonej warstwy narodu, aby łatwiej narodem tym rządzić, i zarazem powoli, lecz stanowczo naród ten zgładzić. Pod jednym tylko względem szkoła pruska wywarła wpływ dodatni na społeczeństwo polskie.

Mam na myśli wprzęgnięcie psychiki Polaka w system trzeźwego myślenia i brutalnej etyki pruskiej. Wpływy te dały w rezultacie typ pracowitego i trzeźwo patrzącego na życie Wielkopolanina, znanego ze swej zaradności, i z tego, że nie przywykł oglądać się na pomoc obcą, lecz z uporem chwyta się wszelkiego godziwego środka pracy i nawet w najtrudniejszych warunkach umie stworzyć sobie warsztat tej pracy.

Kulturę materjalną, wyższą od tej, jaką spotykamy u rodaków z innych dzielnic, swój wyższy poziom życiowy zawdzięcza Wielkopolanin Prusakom.

II.
ZACZĄTKI SZKOŁY POLSKIEJ.

Jeszcze w czasie trwającej wciąż i nierozstrzygniętej wojny odżywają nadzieje, a z nimi i myśl o ulgach dla Polaków pod zaborem pruskim. Za inicjatywą nauczyciela Suchowiaka zawiązuje się w Poznaniu „Poradnia Wychowawcza" — naturalnie konspiracyjna. Obok niewyraźnych poczynań oficjalnych w parlamencie, sprawa wychowania narodowego jest żywo omawiana przez ówczesnych działaczy narodowych. W kwietniu 1918 r. zakłada się „Towarzystwo Pedagogiczne", którego program wyraźnie określa hasło: „Bądźmy gotowi, zanim słońce wzejdzie".

Środki działania miały się wyłonić wkrótce, bo już we wrześniu tegoż roku na wniosek Suchowiaka zakłada się „Powszechne Towarzystwo Pedagogiczne".

Jak szeroki plan działania zakreśliło sobie Towarzystwo Pedagogiczne, i z jak szczęśliwą wiarą przystępowało do pracy, świadczy protokół spisany przez sekretarza Komisji szkolnej Krantza, w przeddzień rewolucji w Berlinie, tj. 9 listopada 1918. Stanowisko Komisji jest zupełnie zdecydowane, o czem świadczy choćby punkt 3 wspomnianego protokółu:

„Wszelkie wyższe posady należy obsadzić Polakami, nie skompromitowanymi germanizatorstwem lub służalstwem. Odnosi się to również do inspektorów i kierowników większych szkół".

Nazajutrz, po tak ważnej deklaracji, wybucha rewolucja w Berlinie. W Poznaniu powstaje „Naczelna Rada Ludowa", a w łonie jej wydział szkolny. 27 listopada delegacja tegoż wydziału w osobach Suchowiaka, dr. Łęgowskiego i ks. Łukomskiego udaje się do Prezesa Regencji i przedstawia mu swoje postulaty w kwestji szkolnej. Jednocześnie poseł Trąmpczyński wręcza tezy polskie pruskiemu ministrowi oświaty:

1. Minister zniesie rozporządzenie z 7. X. 1887. i z 6. X. 1887., usuwające ze szkół ludowych naukę języka polskiego.

2. Rozkaże zniesienie analogicznego rozporządzenia prezesa Regencji Poznańskiej z 27. X. 1873 r.

3. Władze prowincjonalne nie będą robiły przeszkód przy wprowadzaniu języka polskiego do szkół ludowych.

Tymczasem 3 grudnia zbiera się w Poznaniu Sejm dzielnicowy. Uchwalone zostały cztery rezolucje, które miały potem stać się fundamentem szkoły polskiej:

1. *Polski sejm dzielnicowy, stwierdzając jak wielką krzywdę wyrządziła narodowi naszemu niemiecka szkoła, uznaje jako jedyną sprawiedliwą: szkołę wyznaniową. Wobec ważności religji dla życia jednostek i społeczeństwa powinna nauka religji zajmować w planie szkolnym należne jej miejsce, a udzielane jej i nadzór nad nią powinny dzierżyć władze kościelne odnośnych wyznań.* Punkt drugi mówi o obowiązkowem nauczaniu.

3. Rezolucja określa stosunek rodziców do dziecka.

4. *Polski sejm dzielnicowy, uznając w całej pełni znaczenie stanu nauczycielskiego, postanawia popierać go pod względem naukowym, społecznym i ekonomicznym. Zdolnym i dążącym naprzód nauczycielom należy otworzyć możność osiągnięcia wyższych stanowisk w kierownictwie szkół, przy nadzorze i przy administracji. Inspektorami obwodów szkolnych powinny być osoby naukowo i pedagogicznie przygotowane.*

Uchwały powyższe okażą się bardzo ważne przy późniejszej rozbudowie szkolnictwa a także i z uwagi na to, jak dalece później zostały zamienione w czyn, albo też zaniedbane, lub nawet wypaczone.

Wciąż trwający i niewyjaśniony stan polityczny nie pozwalał na przyłożenie siekiery do korzenia pruskiego tworu.

W inny sposób zadecydować się miały losy szkoły polskiej; 27 grudnia wybucha powstanie wielkopolskie.

Po wypędzeniu Niemców i po przystąpieniu do spolszczenia aparatu administracyjnego na ziemiach wyzwolonych, powstaje na wzór pruski zorganizowany „Wydział II. dla spraw szkolnych i wyznaniowych", którego kierownikiem zostaje mianowany ks. Łukomski.

Organizacja I. instancji pozostaje również ta sama. Inspektorowie pruscy wciąż jeszcze urzędują.

Przez 3 miesiące nie wydano decydującego rozporządzenia. Nawet „Ostmarkzulagi" tj. dodatki za „gorliwą służbę" germanizatorską nadal są wypłacane(!). „Schulblatt" wychodzi dalej, a ogłasza się tam nie rozporządzenia władz polskich, lecz rozporządzenia z Berlina. Toteż zainteresowane nauczycielstwo oczekiwało z niepokojem i wewnętrznym znakiem pytania: co to ma znaczyć?

Ten 3-miesięczny okres bezwładu i bezczynności czeka na oświetlenie przez historyka. Dlaczego i komu zawdzięczać należy tak leniwe zabieranie się do spraw szkolnych.

Inicjatywa musiała przejść w ręce nauczycielstwa. Zdecydowani i odważniejsi cywilnie rozpoczynają naukę w języku polskim już w styczniu 1919 r.

W kwietniu tegoż roku przystępuje do pracy zawsze energiczny i czynny Suchowiak. Wydaje on ogólne przepisy, dotyczące programów w polskich szkołach ludowych. Pod kierownictwem Suchowiaka pracuje Komisja podręcznikowa. Owocem tej pracy był wybór 12 podręczników do użytku dzieci i 2 podręczników metodycznych dla nauczycielstwa, które natychmiast zostały wprowadzone. Ten sam Suchowiak łata ile może braki. Ogłasza swoje 8 reguł wychowawczych i 2 reguły dydaktyczne:

1. Nauczyciel powinien przyjść do klasy nie później jak 10 minut przed rozpoczęciem lekcji.

2. Codziennie przed rozpoczęciem lekcji trzeba sprawdzić, czy dzieci przyszły do szkoły umyte i czy mają czyste ubranie.

3. Nauczyciel czy nauczycielka powinni być sami czysto i nie podpadająco ubrani......

5. Na przerwy wychodzą dzieci parami.

6. Główną przerwę należy wypełnić przez stosowne gry i zabawy...

a) Wykład należy prowadzić z całą klasą.

b) Nauczyciel daje uwagi i stawia pytanie całej klasie . . . .

Stary i doświadczony nauczyciel starał się wiedzę swoją przelać w rzesze nauczycielskie, choćby tylko w formie reguł lub przykazań; bo cóż innego można było zrobić, jeśli się zważy, że przybyły setki takich pracowników, którzy zaledwie czytać i pisać po polsku umieli; tyle, ile ukradkiem w domu poduczyć się było można.

Chcąc zapełnić wolne miejsca nauczycielskie, które masowo opuszczali Niemcy, trzeba było wprowadzić siły pomocnicze. Innego wyjścia nie było.

Rola jaką spełnił ten rodzaj nauczyciela w tworzącem się szkolnictwie wielkopolskim.

Jeżeli zastanowię się nad tą sprawą i będę ją traktował na płaszczyźnie zasady, że szkoła — to nauczyciel, i jeżeli zważę, że w latach tych nauczyciel pomocniczy stanowił masę, bo pozostali nauczyciele Polacy z dawnych szkół pruskich stanowili mniejszość, i jeżeli wyłączę nauczycieli przybyszów z innych dzielnic, jako po większej części już kwalifikowanych i wpracowanych — wtedy orzec mi wypadnie, że nauczyciel pomocniczy tworzy sam osobny rozdział w historji szkolnictwa wielkopolskiego.

Z początkiem kwietnia skompletował się wydział II. dla spraw szkolnych przy N. R. L. Jako radcy prowincjonalni weszli: dr. Łęgowski, Wierzbiński, dr. Jabczyński, Suchowiak, dr. Namysł, Szwemin, Krantz i pastor Kotula.

Dopiero z tą chwilą ruszyła praca organizacyjna pełnym biegiem.

W maju zwolniono wszystkich pruskich inspektorów szkolnych, a na miejsce ich mianowano nowych. Wybór tych ostatnich nie zawsze był szczęśliwy.

Wydział II. postępował według swego planu. Nie dopuszczało się naogół przybyszów z innych dzielnic do administracji szkolnej. Przypuszczalnie odgrywały tu rolę względy konserwatywne i egoistyczno-ludzkie. Wszak nie można było dopuścić do zaawansowania bardziej władz pierwszej instancji, aniżeli to miało miejsce w instancji II.

W każdym razie jest faktem, że cały szereg sił pierwszorzędnych upchnięto po kątach, a często liche siły miejscowe, związane tradycyjnie z szkołą pruską wyforsowano na stanowiska kierownicze.

Wprawdzie stan taki miał też i swoje dobre strony, bo to co się działo w szkole — było rewolucją.

Burzyło się gmach tak solidnie i długo przez Niemców budowany. Nie można było zbyt gwałtownie zrywać z tradycją, nie mając wzorów gotowych, gdyż wstrząs taki mógł zburzyć kompletnie to, co było — i wywołać anarchję.

Według źródeł urzędowych nauka w języku polskim miała odbywać się na wszystkich szczeblach już od maja 1919 r.

Źródła te mówią tylko o fakcie wydania zarządzeń, gdy tymczasem w praktyce jeszcze w rok i później sprawa ta nie przedstawiała się tak pomyślnie. Istniały szkoły mieszane, istnieli nauczyciele Niemcy, nie mówiący po polsku a uczący w szkołach polskich. Oderwane wypadki mają miejsce i dziś jeszcze. Jednak to, co uczyniono, przedstawia taki ogrom pracy, że trudno dziś nie podziwiać, ile pomysłu i zapału musieli mieć ci ludzie, którzy stali wówczas u steru szkolnictwa w Wielkopolsce. Co się tyczy materjałów urzędowych, cyfr statystycznych, wiele rzeczy pozostanie w mrokach zapomnienia, albo w tradycji. Według słów autora „Dziesięciolecia szkolnictwa Wielkopolskiego" dr. Jabczyńskiego, który sam brał udział w tych pracach, i do dziś u źródła ich pozostaje:

„brak nam z tej epoki jakiegokolwiek materjału autentycznego, któryby mógłby stosunki szkolne, panujące wówczas, cyfrowo ilustrować".

Dla przyszłego badacza będzie to wdzięczne pole do pracy: Odkopywać to, co kiedyś leżało na wierzchu, a co współcześni bezmyślnie pogrzebali. W listopadzie 1919 r. ulega likwidacji Naczelna Rada Ludowa, a w miejsce tej ostatniej powstaje „Ministerstwo byłej dzielnicy pruskiej".

Sprawy szkolne znajdują się w departamencie XIV. podległym podsekretarzowi stanu Bernardowi Chrzanowskiemu.

Prowincjonalne Kolegjum otrzymało nazwę „Wojewódzkiego Kolegjum Szkolnego" — a wreszcie nazwę: „Departament M. W. R. i O. P."

Najruchliwszą i najbardziej produktywną była działalność Komisji dokształcania nauczycieli. Powstał cały system kursów dokształcających, któremi kierował radca Janaszek.

Ponieważ materjały, tyczące się tego odcinka pracy, leżą dotąd w aktach i nie zostały naruszone dla celów publikacyjnych, mogę jedynie na podstawie własnych wspomnień, a więc subjektywnie i fragmentarycznie, odtworzyć kilka epizodów z tych czasów.

Kuratorjum poleciło mi złożyć egzamin pedagogiczny na nauczyciela szkół powszechnych, przewidziany rozporządzeniem M. W. R. i O. P. o kandydatach, posiadających maturę gimnazjalną. Zostałem skierowany do radcy Janaszka, który przyłączył mnie do grupy kandydatów, kończących kurs 6-cio miesięczny. Biura kursu znajdowały się przy Św. Marcinie (obecnie Dom Akademicki). W poczekalniach i na korytarzach gromadziły się rzesze kandydatów, wśród których przeważały kobiety, szukające jakiegokolwiek zarobku. Były to absolwentki różnych kursów 6-cio tygodniowych, lub trzymiesięcznych, na które to kursa przyjmowano z ukończoną szkołą powszechną. Wiadomo, że szkoła pruska nie grzeszyła chęcią jakiegokolwiek pogłębiania wiedzy. Jeśli się zważy, że szkoła ta nie dawała odrobiny wiedzy o Polsce i o języku polskim, to można sobie wyobrazić, jaki to materjał ludzki gromadził się na kursach wstępnych.

W ciągu 6-ciu miesięcy przerobiono na kursie przedmioty ogólno-kształcące w zakresie 5-letniego seminarjum; do tego przedmioty pedagogiczne, a jeszcze u samego fundamentu wyrównać trzeba było różnicę, jaka istniała pomiędzy szkołą powszechną zaborczą a szkołą polską; łatwo więc sobie wyobrazić z jak chaotyczną wiedzą szedł taki aspirant do egzaminu nauczycielskiego.

Egzamin odbywał się masowo; tak masowo, jak to czyni maszyna, wyrzucająca z siebie gwoździe, tutki do papierosów lub coś w tym rodzaju. Tylko że maszyna czyni to rzeczywiście precyzyjnie. Komisja zaś chcąc zbadać wiedzę kandydata i jego inteligencję w przeciągu kilku minut, mogła działać tylko formalnie. Sam fakt poddania się egzaminowi wystarczył do wystawienia patentu na nauczyciela pomocniczego.

Jeden z byłych członków Komisji opowiadał mi niedawne swoje wspomnienia z owych czasów: Kandydat nie dał wydusić ze siebie żadną metodą odpowiedzi na pytanie, jak się nazywa największa rzeka w Polsce. Gdy mu powiedziano wreszcie, że Wisła, na twarzy jego odmalował się wyraz zdziwienia. Inna kandydatka słaba w tabliczce mnożenia przyrzekała, że się później nauczy, popierając szczerość przyrzeczenia serdecznym płaczem. Bo i kiedyż miała odrabiać zaległości, ucząc się na kursie rzeczy innych? Ile sił pomocniczych zatrudnionych było w latach 1919—1925, niewiadomo, gdyż brak danych cyfrowych.

Dlaczego władze upierały się przy wprowadzaniu do szkół tak niepewnego materjału, objaśnić może okólnik z 4 września 1919 r. i komunikat z 22 lipca 1919 r. zamieszczony w „Amtliches Schulblatt“ Nr. 14.

„Potrzeba 3000 nauczycieli. Seminarja nasze dadzą nam w tym roku 28 sił. Naczelna Rada Ludowa ogłosiła o tej potrzebie w gazetach Galicji i Królestwa. Zgłosiło się kilkaset, wybrano 264. Sił nie kwalifikowanych nie uwzględnia się. Podania z Galicji napływają tak licznie, że nie sposób odpowiadać. Regencja uwzględnia przedewszystkiem siły tutejsze“...

W jakim celu były wydawane takie odezwy — nie wiadomo.

W roku 1925 resztka nauczycieli pomocniczych dobija się do egzaminu dojrzałości, inni zostają usunięci. Metoda i zakres egzaminowania uległy później zmianie tak krańcowej, że tak jak początkowo wystarczyło stawić się tylko do egzaminu, aby go złożyć, to w roku 1925 do egzaminu należało zaopatrzyć się w taki magazyn wiedzy, i z taką pojemnością stawić się przed komisją, że tylko wybitni pamięciowcy mogli wytrzymać próbę. Oto przykład: Kandydatów razem 5-ciu. Egzamin trwa dni 6. Przez 5 dni trzyma się chłop z wynikiem dobrym. Wreszcie dnia 6-tego wieczorem zostaje schwytany przez samego delegata Kuratorjum na tem, że nie pamięta pewnego terminu gramatycznego. Egzamin przepadł!

Oceniając wysiłek, jaki wykonali kierownicy szkolnictwa od pierwszych chwil odzyskania niepodległości, oraz rezultaty tego wysiłku, przyznać należy, że byli to ludzie nieugięci. W takiem zagmatwaniu stosunków, w takiej gorączce tworzenia, w takiej anarchji ogólnej, przy braku wzorów, tradycyj, często wśród labiryntu złudnych prób i pomysłów, nie utracili celu ostatecznego, jaki sobie obrali: przedewszystkiem spolszczyć szkołę, a dopiero potem podnieść ją na właściwy poziom. Z tego zadania wywiązali się sumiennie.

Tu należy wspomnieć o nauczycielstwie, bo o tem milczą sprawozdania urzędowe. W pracach poświęconych historji szkolnictwa tego okresu nic się o roli nauczyciela nie mówi. Łatwo snuć plany, łatwo wydawać zlecenia, skoro ma się do dyspozycji tysiące karnych i dzielnych wykonawców.

Odrodzona szkoła polska — to wysiłek rzeszy nauczycielstwa, ważnością swej misji i ofiarnością dla sprawy narodowej przejętego.

Panuje niczem nie osłabione przekonanie ogółu, że zwycięstwo przypisuje się wodzowi, pomyślność kraju królowi, a zdobycze na polu wychowania narodowego sezonowemu nieraz ministrowi. Ten fałszywy sąd musi zostać odwrócony, lub też zasługi muszą być sprawiedliwie podzielone.

Że walka na posterunku służby zawodowej jest ciężka, świadczą setki nauczycieli, złożonych przez gruźlicę w sanatorjach, świadczą mogiły rozrzucone po cmentarzach; mogiły tych co zgasli w wieku młodym, zgnębieni chorobą zawodową.

Niech jeden bezimienny bohater znajdzie na tem miejscu wyraz hołdu. Bo wspomnienie dobre wystarczy za cześć, jaką oddać należy cichym i nieznanym bojownikom Polski odrodzonej.

Było to w roku 1919. Jesień. Wieczór. Stałem w przedsionku urzędu gminnego zapadłej wioski mazurskiej, rozmawiając z miejscowymi o tem i owem z polityki wiejskiej. Z zakrętu drogi wyrosła postać młodego człowieka, z węzełkiem, zawieszonym przez plecy na wierzbowym kiju. Opędzając się zgraji natarczywych piesków, — zmierzał wprost do urzędu gminnego.

Złożył swój tobołek pod ścianą i wyjął papier zzanadrza, wielką czerwoną pieczęcią opatrzony:

Inspektor szkolny donosi, że w miejscowości tutejszej powstała szkoła. Przysyła nauczyciela i poleca go przyjąć.

Zdziwienie musiało ogarnąć i nas i przybysza. Nikt dotychczas o tem, jako żywo, nie słyszał, aby we wsi tej miała istnieć jakaś szkoła.

Szkoły niema! To nic. Szkoła będzie! Słusznie! potwierdziłem, chcąc jakoś zatrzeć przykrą sytuację. Zdołałem się już zorjentować na czem całe nieporozumienie polega:

Szkoła w Gazdanowie powstała w marzeniu inspektora szkolnego, a że to wyobrażenie przybrało realniejsze już kształty, bo postać papierka, podpisanego i opieczętowanego orłem Rzplitej, więc nikt nie miał prawa wątpić o istnieniu szkoły.

Trzeba ją było tylko stworzyć...!? Jest nauczyciel, będzie i reszta.

Na drugi dzień ruch we wsi. Zebranie gminne.

Nauczyciel przedkładał jaki to pożytek będzie z tej szkoły. Starzy się po głowie drapali, namyślali, bo to i wydatki będą. Widząc, że obrady skończyć się mogą jedynie na obradach, wygotowałem szybko protokół... „jako gmina się zgadza, jako rząd daje pożyczkę...“

Podpisał wójt, podpisali i inni. Wynajęto najlepszą izbę we wsi.

Była to obszerna komora z glinianą podłogą, z małem okienkiem. Olbrzymie zwisające belki czekały na to historyczne zdarzenie może już od lat dwustu. Okno drugie i trzecie wyrżnięto w ścianie. Zniesiono wszystkie deski, jakie w gminie przypadkiem znaleść się mogły. Wbito kołki w podłogę, i ławy gotowe. To do czytania i pisania. Tych do siedzenia jeszcze nie było.

Nazajutrz biegał po wsi pachołek od sołtysa i zapowiadał, że od poniedziałku, kto mały a żywy — marsz do szkoły! A stołki zabrać ze sobą!

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Odwiedziłem owego nauczyciela dopiero w rok potem. Pokazywał mi „salę wykładową“ i bibljotekę kilkanaście tomików liczącą. Tu mapa Polski, tam jakieś obrazy Grottgera, pocztówki, to znowu rysunki domorosłych i niedorosłych wiejskich artystów zdobiły ściany tej nędznej izby. Całość robiła wrażenie jakiegoś dziwnego odkrycia na tem odludziu...

„Co to Polska?...
Znaj, o znaj!...
Jest to wielki, piękny kraj!...“

widniały resztki wiersza pozostawionego na tablicy.

Nauczyciel zapraszał uprzejmie do prywatnego mieszkania. Zdziwiło mnie, bo nie mogłem wyobrazić sobie, gdzieżby mógł mieć to prywatne mieszkanie.

Dziwna rzecz! Ile razy później opowiadałem o tem, spotykałem się zawsze z pewnego rodzaju niedowierzaniem.

Bo i komuż chce się uwierzyć, aby w XX wieku, i to w środkowej Europie tak mieszkali ludzie... Nie była to jaskinia — — — lecz prawdziwy kurnik!

W starych budowlach, jeszcze po dzień dzisiejszy widzieć można, jak od fundamentu wyprowadzone dwa kominy łączą się dopiero na wysokości wzrostu człowieka i wybiegają ponad dach domu. W ten sposób powstawała komora, w której gospodarz urządzał schronisko dla kur. Było to praktyczne, ze względu na drapieżnika lub złodzieja.

Teraz uprzątnięto grzędy, wyniesiono nawóz, wapnem wybielono, w ścianie otwór wybito; lecz nie tak duży, aby znowu czyja nieproszona głowa wejść mogła — i tak urządzono mieszkanie dla pana „profesora".

Nie był to pokój zbyt mały, bo po ustawieniu jakiegoś również w pomysłowy sposób zaimprowizowanego łóżka, po ustawieniu stołka i tobołka, można się było jeszcze obrócić.

Ponieważ sypialnia nauczyciela sąsiadowała z salą wykładową, więc snać już dla kompletnej wygody, kazały kochane Mazury wybić otwór w ścianie wprost do klasy...

Otwór ten zasłonięto kilimem. Wystarczyło dobrze przysiąść, lub nawet klęknąć, pchnąć śmiało głową w przesłonę, aby znaleść się natychmiast w klasie; i odwrotnie.

Mimo wszystko lokator czuł się w swojej roli doskonale. „Tyle pracy, tyle wszystkiego" — mawiał często. „Cały dzień w klasie, bo nauka na trzy zmiany i kursa dla dorosłych wieczorem. Teatry, śpiewy, odczyty... Ludzie nie dają spokoju".

Żeby choć w święta, lub wakacje odpocząć! Na Boże Narodzenie — na kursach, na Wielkanoc — na kursach, podczas wakacyj letnich — na kursach...

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Byłem później w Gazdanowie na uroczystości poświęcenia kamienia węgielnego pod nową szkołę. Jak Polska Polską, takiej uroczystości jeszcze tu nie było. „Nauczyciel już tam jakosik pokierował, że i pieniądze Rząd dał, i chłopaki grać się nauczyli, i tę straż ogniową założono... Tylko na zdrowiu z nim kiepsko.

Z podzimku leżał coś parę tygodni, ale grozili z powiatu i musiał wstać. „Byliśwa" u księdza, aby odstąpił jeden pokój. Nie chciał dać.

W kwietniu 1921 r. zajrzeć znowu mi przyszło do Gazdanowa. Już w mieście jeden z tutejszych powitał mnie smutną wieścią:

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Rano znaleźli go w izbie... Dużo krwi.

Na gazdanowskim cmentarzu stoi krzyż z polnego kamienia ciosany, płotkiem opasany, bo tak chciał naród, aby było na pierwszem miejscu, choć proboszcz się opierał.

Szkoła nowa stanęła, bo tak chciał On, którego już niema. Stanęło jeszcze coś, czegobym nazwać nie umiał. Ja to tylko widzę, ile razy do Gazdanowa zajadę:

Ludzie jakoś czyściej chodzą ubrani, dzieci już od obcych ludzi nie uciekają, lecz śmiało i mądrze na pytanie odpowiadają. Kilku młodych gospodarzy wybudowało sobie murowane i okazałe domy. Drogi naprawione i drzewami obsadzone...

Na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu rozgląda się ciekawie gromadka Gazdanowiaków. Skąd im przyszła ochota, aby z piasków mazurskich ruszyć w świat?

Co przywieźli ze sobą z tej wycieczki, wracając do zapadłej wsi tego znowu się nazwać nie da. To będzie można widzieć później...

On już ich wyprowadził w świat, teraz już żadna siła — chłopa na gnojowem podwórku nie utrzyma!!...

ŹRÓDŁA.

1. Dr. Jabczyński. Dziesięć lat szkoły polskiej w poznańskim okręgu szkolnym.

2. Urzędowa gazeta szkolna — rok 1919, nr. 1 do 14.

3. Zbiór ustaw i rozporządzeń dotyczących szkolnictwa w poznańskim okręgu szkolnym. — Dr. Świderski.

4. Suchowiak. Niemieckie szkolnictwo w Poznańskiem i na Pomorzu.

5. Dr. Francke. Verordnungen betreffend das Volksschulwesen in Regierungsbezirk Posen.

6. J. Wierzbicki. Wspomnienia i notatki od r. 1918.

J. Wierzbicki.

Z pamiętnika rosyjskiego oficera — Polaka o epoce Mikołaja I. *)

W KORPUSIE KADETÓW W PETERSBURGU.

Koledzy traktowali nas brutalnie. Co chwilę zbliżał się ktoś i pytał, jak się nazywamy i skąd pochodzimy. Odpowiedzi nasze wywoływały salwy śmiechu i chuligańskie żarty. Nasze warszawskie mundurki, nigdy nie widziane przez Rosjan, były przedmiotem nieustannych kpin. Byłem zapalczywym, pięści moje świerzbiały, lecz widziana na sali krwawa egzekucja hamowała moje zapędy i zmuszała pozostawać pokornym barankiem. Do g. 3, więc do początku lekcyj, znęcano się nad nami. Gdy zjawił się feldvebel, również kadet, i zaczął nas wypytywać, tłum kładł się od śmiechu. Podoficer oddał mię pod dozór efrejtora, 14-letniego chłopca, który miał mię nauczyć zachowania się wobec władz. Ten mentor kazał mi stanąć przy łóżku i zaczęła się musztra. Ukończyłem gimnazjum, miałem 18 lat, lecz musiałem słuchać tego dzieciaka, stawać na baczność, wciągać brzuch, wyprężyć piersi. Widocznie uznał mię za mało uzdolnionego, gdyż zaczął szturchać w plecy, kark, uderzać po brzuchu. Kadeci zanosili się od śmiechu. Cierpiałem męki, lecz milczałem, rozumiejąc potęgę władzy efrejtora. Zaprowadzono mię do mieszkania starszego lekarza korpusu. Nazywał się Suszczyński i miał wygląd poważnego, starszego pana. Wszczął ze mną rozmowę i kazał podejść do fortepianu; tu pokazał mi okładkę nut i zapytał, czy widziałem taki obrazek. Wybuchnąłem śmiechem tak szczerym i naiwnym, że zaśmiał się również i pan lekarz. Na obrazku ujrzałem warszawskie powstańcze oddziały z r. 1831, składające się z Żydów. Była to karykatura, przedstawiająca żydowskie wojsko w postaci tak smiesznej i godnej politowania, że nie mogłem się powstrzymać od śmiechu. Widocznie moje zachowanie się podobało się lekarzowi. Natomiast brat mój, u którego wykryto kompromitującą chorobę, wywołał oburzenie lekarza, został umieszczony w szpitalu i w ciągu lat 6 był junkrem w Smoleńskim pułku, który opuścił w randze cywilnego urzędnika 14 klasy i w nędzy zmarł w Warszawie.

Nazajutrz po wizycie u lekarza kazano mi stanąć przed dyrektorem korpusu generał-majorem Puszczynem. Groźny, drobiazgowy, o brutalnym głosie człowiek ten był w gruncie dobrym i sprawiedliwym. Wiedząc o kompromitacji mego brata, przyjął i mnie bardzo nieżyczliwie. Oglądał długo i uważnie i wreszcie rzekł: „Masz tobie, ten jegomość przez lat 20 tłukł kamienie w Warszawie a teraz przybył tu do szkoły. Nie, bratku, tyś tu przywlókł zarazę, nie zostaniesz u mnie, wynoś się sobie!“ Słowa te i sroga postać Dyrektora ostatecznie mię przygnębiły. Wróciłem do korpusu całkiem rozbity i zmarnowany. Po obiedzie, gdy kadeci udali się na lekcje, kazano mi czekać przy drzwiach pokoju inspektora. Miał się odbyć egzamin dla mnie. Czekałem do godz. 6, a nazajutrz od 8 do 12 i od 3 do 6. Wskutek naprężonego oczekiwania i niemożności wypoczęcia, ponieważ nie mogłem usiąść, byłem tak wyczerpany, że brakło mi tchu. Następnego dnia była sobota. Kazano nam się przebrać i poprowadzono na nieszpory do cerkwi. Obfitość świateł, piękno świątyni, wspaniały śpiew wpierw zajęły mię, lecz nie mogłem wytrzymać dwugodzinnego nabożeństwa i upadłem bez czucia. Wróciłem do przytomności w jadalni, gdy kadeci przybyli na kolację. W poniedziałek rozpoczął się egzamin. Inspektorem był pułkownik Litewskiego pułku gwardji Foreman, pomocnikiem jego kapitan Pawłowski 2-gi. Na pytania, gdzie się wychowywałem

*) Patrz Nr. 11.

i co umiem, odpowiadałem niby po rosyjsku i oświadczyłem, że w tym języku mówić nie mogę. Pozwolono mi odpowiadać po polsku na pytania w jęz. rosyjskim. Dowiedziałem się później, że Inspektor do r. 1831 służył w Warszawie, doskonale znał jęz. polski, znał stryja Rafała i często słuchał jego wykładów. Egzamen mi się udał, odpowiadałem śmiało, zwłaszcza równania matematyczne rozwiązywałem szybko i dobrze. Pochwalono mię i umieszczono w drugiej wyższej klasie. W pułku szlacheckim istniały wówczas dwie niższe, dwie średnie i dwie wyższe klasy. Rangę oficera nadawano tym, którzy ukończyli kl. I wyższą. Dzięki egzaminowi sytuacja moja się polepszyła. Ubrano mię w uniform i przyjęto do korpusu.

D. c. n.

Foch czy Fosz?

(W odpowiedzi p. prof. H. Ułaszynowi.)

W nr. 7 „Przeszłości“ (str. 98—99) pisałem, że uważam za wskazane, zastąpić na godłach ulicy marszałka Focha pisownię „Foch“ przez „Fosz“, aby na przyszłość zapobiec mylnemu wymawianiu nazwiska marszałka. Jeszcze kilka dni temu słyszałem, jak starszy jegomość (nie chłopaszek!) pytał się konduktora tramwajowego, czy jedzie na ulicę marszałka „Foha“[1]). Zastrzegam się, że nie miałem i nie mam zamiaru propagowania jakichkolwiek reform ortograficznych[2]); kierowałem się natomiast wyłącznie względami *praktycznemi* i, że tak powiem, *uczuciowemi*, więc takiemiż względami, jakiemi kierował się Mickiewicz, polszcząc Dumourieza[3]) na *Dymurier*, lub Boy gdy pisze *Żaneta* zamiast Jeannette, lub Jankowski w hymnie swym na cześć *Fosza.* Prof. Ułaszyn widocznie nie zrozumiał, o co mi chodzi, zabierając głos w tej sprawie („Przeszłość“, nr. 10, str. 145—146). Ja pisałem o Foszu, prof. Ułaszyn wyjeżdża z Egipcjanami i Assyryjczykami; ja pragnąłem zabezpieczyć marszałka od mieszania nazwiska jego z „fochami“ i „fokami“, prof. Ułaszyn miesza go z Don Juanem i Don Kichotem; ja proponowałem uczcić pamięć marszałka Francji i Polski, prof. Ułaszyn nadmienia, że „oddawna nikt (?) z nas już nie pisze *Ruso*, *Boalo*, i stwierdza — o czem wszyscy dobrze wiemy — „silną tendencję do utrzymania imion własnych, obcych w ich oryginalnej pisowni i możliwem zbliżeniu co do wymowy“.

Tendencja, zgoda! Ale tendencja nie jest regułą, a i reguły mają, jak każdemu wiadomo, swoje wyjątki — które je potwierdzają. Gdybyśmy konsekwentnie wszystkie wyrazy obce pisali z cudzoziemska (jak to czynią Francuzi a przeważnie i Niemcy), sprawa byłaby przesądzona. Tymczasem, jeśli idzie

[1]) Tak, *Foha.* Użyłem tu litery *h* zam. *ch* dla uniknięcia nieporozumień co do wymowy. Czyżby prof. Ułaszyn jako slawista nie wiedział, że na największym obszarze dzisiejszej Polski nie odróżnia się w wymowie *h* i *ch* przed samogłoską?

[2]) Przeciwnie, osobiście skrupulatność w zachowaniu pisowni obcej posuwam tak daleko, że w historji literatury hiszpańskiej (nad którą obecnie pracuję) nie polszczę nawet (tak pospolitych i u nas) imion jak *Juan, José, Carlos.* Inna rzecz, że piszę *Don Kiszot*, a nawet *Syd*, ale to do sprawy nie należy.

[3]) Nie *Dumouriera.* Nazwisko tego generała pisze się przez z na końcu.

o imiona pospolite, toć przecież wiadomo, że istnieje u nas w dalszym ciągu tendencja do fonetycznego ich transkrybowania, czego dowodzą choćby *lidery*, *spikery*, *mecze itp.*, coraz to częściej napotykane w prasie naszej. I nietylko w prasie; wszak Stefan Łoś ośmielił się niedawno spolszczyć angielskie *change* na *czendż!* A imiona własne? — Nie brak i tu wyjątków. Wystarczy otworzyć „Słownik 31 000 wyrazów obcych" (wyd. 8, poprawione przez H. Ułaszyna), aby znaleźć na str. 21: *bajroniczny*, z objaśnieniem „w duchu Bajrona" *(sic!)*, *bajronista*, „naśladowca i zwolennik Bajrona", *bajronizm*, *bajronizować*........ Gdzież tu konsekwencja? Prof. Ułaszyn odpowie mi może, że *Bajron* się przyjął. Ale skoro się przyjął *Bajron*, skoro Akademja toleruje *Szopena*, *Szekspira*, *Moljera* ,*Woltera* (nie mówiąc o polonizowaniu imion ruskich), nie widzę doprawdy, dlaczego nie możnaby zrobić wyjątku dla Focha, człowieka pod każdym względem wyjątkowego i bliższego nam pod wielu względami niż np. Byron. Więc prof. Ułaszyn przyzna chyba, że dyskusja na ten temat jest możliwa.

Dalej stwierdza prof. Ułaszyn, że „kultura, oświata postępuje" (dałby Bóg!), że wzrasta „znajomość języków obcych" (gdzie?) i że obecnie „żaden z narodów, używających liter łacińskich" nie transkrybuje nazwisk obcych (oczywiście, gdyż zasadniczo nie uznaje transkrypcji fonetycznej, choćby imion pospolitych). Że je źle wymawia, a nawet przekręca w niemiłosierny sposób (jak np. Anglicy), o tem prof. Ułaszyn nie wspomina. Czyżby uważał za dowód wyższej „kultury" umieć pisać poprawnie a wymawiać po swojemu, niż wymawiać prawidłowo a pisać po swojemu? Pisać np. *Byron* a wymawiać *birą* (jak to czyni przeciętny Francuz), niż pisać i wymawiać *Bajron*? Albo pisać *meeting* a wymawiać *metęg*, niż pisać i wymawiać *mecz*? O prawdziwej kulturze można mówić dopiero wtedy, gdy dany naród pisze *i* wymawia wyrazy tak, jak się je pisze i wymawia w ich ojczyźnie. Sądzę jednak, że dużo jeszcze wody upłynie we Warcie i Wiśle, zanim ideał ten osiągniemy. Nawet prof. Ułaszyn nie jest tak wymagający, skoro nie uważa za „kryminał", że *Leszczyńska* brzmi na ustach Francuza *Leczinska* (nie, *Legzęska!)* a Kościuszko na ustach Japończyków *Kotsuko*, jakkolwiek w oba tych wypadkach nietylko wymowa, ale i pisownia zmieniona. Zato pisownia *Fosz*, będąca wierną transkrypcją wymowy francuskiej, nie doznaje łaski w jego oczach. Co wolno wojewodzie (Francuzom i Japończykom), to....... Że niektórzy Francuzi niewłaściwie wymawiają nazwisko Focha (zresztą nie wierzę, żeby dziś jeszcze jako tako wykształcony Francuz nie wiedział, jak się je wymawia poprawnie), to nie może być dla nas powodem, żeby ich naśladować, tak jak rzekomo wielkopolska wymowa *Łylson* (!) zamiast *Wilson* nie upoważnia nas, żeby tak pisać, i zaręczam prof. Ułaszynowi, że „nawet" Wielkopolanin nigdyby nie wpadł na tak absurdalny pomysł. Prof. Ułaszyn konkluduje, że „tych, którzy nie wiedzą, że należy wymawiać *Fosz*, niech pouczą o właściwej wymowie prze-

dewszystkiem ci, których tak drażni usłyszany *Foch* (z *ch*) czy *Fok*", lecz nie powiada, jak sobie to „pouczanie" wyobraża. Zdaniem mojem najlepiej pouczałaby ich pisownia *Fosz*, bo sugestja pisma jest najtrwalszą, bo *verba volant, scripta manent.*

Uwagi prof. Ułaszyna nie rozwiązują więc kwestji, którą poruszyłem, a jedyny poważniejszy argument, jaki wysuwa przeciw mojej propozycji, to „tendencja", której sam nie przestrzega, pisząc *Bajron*. Pod tym względem jestem „plus catholique que le pape", bo piszę Byron, Shakespeare, itd. Ale Byron nie był marszałkiem Polski, nazwisko jego nie zdobi godła ulicy poznańskiej, a ci, co u nas Byronem się zajmują, wiedzą, że się wymawia *Bajron*, podczas gdy nazwisko Focha kaleczy dziennie 100, 200, może 500 osób, głównie w związku z przezwaną po nim ulicą. A ponieważ istnieje bardzo prosty sposób zaradzenia złemu: zmiana pisowni, ponieważ za tą zmianą przemawiają względy zarówno praktyczne jak ideowe, ponieważ są już precedense, przeto podtrzymuję propozycję swoją, a to tem bardziej, że dzisiejsza filologja dąży raczej do indywidualizowania faktów językowych niż do ujmowania ich w ciasne reguły i martwe abstrakcje. Litera zabija, a duch ożywia.

Poznań. *Dr. J. M.*

Replika na replikę.

Żałuję własnego czasu, a miejsca w „Przeszłości", na dalszą polemikę — p. M. nawet o błędach druku się rozpisuje, — więc tylko słów kilka.

Właśnie dlatego, że jestem slawistą zaopatrzyłem transkrypcję: „Foha" pytajnikiem. Sam p. M. wyraża się (coprawda naukowo nieściśle), że „na największym obszarze dzisiejszej Polski nie odróżnia się w wymowie *h* i *ch* przed samogłoską". A zatem są terytorja, gdzie odróżnia się *h* i *ch*. Natomiast niema terytorjów, gdzieby na piśmie *ch* przed samogłoską brzmiało jak *h* i oto dlaczego transkrypję p. M. zaopatrzyłem pytajnikiem. Przecież transkrypcja znajduje się w piśmie, których czytelnicy nie są fonetykami — coprawda żaden fonetyk nie użyłby w tym wypadku *h*. Czytelnicy „Przeszłości" kierują się poczuciem językowem (na które wpływa też pisownia) — przecież wiemy, że są tacy; co wmawiają nawet sobie różnicę w wymowie nieistniejącą. Por. osobny punkt obrad z aktorami, kiedy ustalano wymowę t. zw. poprawną. Czyż nie lepiej zamiast „Foha" napisać: „Focha nie Fosza", lub „Focha z polskiem *ch*"?...

Jeśli zestawić słowa p. M.: „Tendencja, zgoda! Ale tendencja nie jest regułą itd." z końcowemi „dzisiejsza filologja dąży raczej do indywidualizowania faktów językowych itd." — to trudno oprzeć się wrażeniu, że p. M. jest w nieporozumieniu. Zresztą być może, że filologja dziś dopiero i to „raczej" dąży do indywidualizacji faktów językowych, bo językoznawstwo uczyniło to

już dość dawno. Dobrze też nie zapominać, że co innego jest badanie, wyjaśnianie, a co innego normalizowanie, do czego się wziął p. M. No i dobrze nie zapominać, że co innego są wyrazy pospolite a własne. Zadużo wogóle musiałbym wyjaśniać.

Nie wiem, co upoważnia p. M. do twierdzenia, że ja używam pisowni *Bajron*. Bo z tego, że w słowniku, w którym rewidowałem *pochodzenie* wyrazów, tak wydrukowano — wniosek taki nie wynika. A gdyby nawet — przecież to nie fakt żywy, współczesny!

Nie potrzebnie też z powodu *Łylsona* „zaręcza“ p. M., że „nawet Wielkopolanin nigdyby nie wpadł na tak absurdalny pomysł.“ Radzę p. M. zajrzeć np. do poematu wielkopolanina (sic!) dra K. Wizego „Ameryka“ (Poznań, 1929); na str. 15 znajdzie on taki wiersz:

„Na nic Linkolny, *Łoszyngty*, Furjery“...

H. Ułaszyn.

Ponieważ w kontrreplice swej prof. H. U. nie wysuwa żadnych argumentów rzeczowych, merytorycznych przeciwko mojej propozycji, a gubi się tylko w subtelnostkach i nieuchwytnych dla mnie „dystynkcjach“, przeto uważam dalsze prowadzenie z nim dyskusji na ten temat za bezcelowe. Nadmienię tylko, że zarzut „nieścisłości naukowej“ (ex re utożsamienia h i ch) należało skierować pod adresem prof. A. Brücknera (Słownik etym. języka polskiego, str. 166) i J. Łosia (Gramatyka polska, str. 138, 140) — lecz nie pod moim.

Dr. J. M.

Błędy druku w roczniku „Przeszłości z r. 1930.

Str.	Wiersz	Zamiast	Winno być
9	18 z góry	zachwiane a wy	zachwiane, a wy
11	18 z dołu	Bismark Wilhelm I	Bismark, Wilhelm I.
13	14 z góry	omjają	omijają
13	21 z dołu	pokarnem	pokarmem
14	8 z góry	swega	swego
16	11 z góry	Brandenburskiego a będąca	Brandenburskiego, a będąca
16	10 z dołu	przez 5 minut po 3 minuty	przez 5 minut, po 3 minuty
Nr. 2			
18	10 z dołu	Czanrolasu	Czarnolasu
21	18 z góry	prezkładzie	przekładzie
23	10 z dołu	zprośbą	z prośbą
24	5 z góry	dażyły	darzyły
26	17 z góry	starał	stara
27	1 z góry	dla jej zapobieganiu	dla jej zapobiegania
28	12 z góry	Kankazu	Kaukazu
29	10 z góry	rozterk	rozterek
29	15 z góry	nstruktorów	instruktorów
32	11 z dołu	thagikomedja	tragikomedja
32	8 z dołu	Dobrowskiego	Dąbrowskiego

Str.	Wierz	Zamiast	Winno być
	Nr. 3.		
33	11 z dołu	narodem	rodem
34	18 z dołu	dprawowały	odprawowały
36	10 z dołu	odawna	oddawna
38	19 z góry	podczac	podczas
39	9 z dołu	sę	się
45	12 z góry	Cemenceau	Clemenceau
47	17 z góry	wychdzi	wychodzi
	Nr. 4.		
52	18 z dołu	wsprowadzający	wprowadzający
54	6 z dołu	blskich	bliskich
55	2 z góry	pensj	pensji
57	21 z góry	jst	jest
58	1 z góry	obedzie	obiedzie
59	12 z góry	Republiik	Republiki
59	22 z dołu	mywomnym	wymownym
59	22 z dołu	liśce	liście
	Nr. 5.		
66	19 z góry	zanania	zaufania
70	4 z góry	podstrzymanie	podtrzymanie
70	17 z góry	oigeń	ogień
77	13 z dołu	siedpnia	sierpnia
78	17 z dołu	nemeckich	niemieckich
	Nr. 6.		
84	5 z dołu	ostanich	ostatnich
93	7 z dołu	usunięce	usunięcie
	Nr. 7.		
98	11 z dołu	wielkorsjaninowi	wielkorosjaninowi
99	7 z góry	zamie szczał	zamieszczał
106	5 z góry	Rzeczylpospolitej	Rzeczypospolitej
108	9 z góry	nastpnych	następnych
108	19 z góry	kolpaka	kołpaka
110	22 z góry	żywców	żywcem
	Nr. 8.		
116	7 z dołu	okurtnie	okrutnie
117	19 z dołu	entnografów	etnografów
119	8 z góry	odegrywa	odgrywa
121	23 z góry	jedenak	jednak
126	3 z dołu	biblojtekę	bibljotekę
127	1 z góry	jakeżeż	jakżeż
	Nr. 9.		
129	2 z góry	z wpływami obcemi a sejm	z wpływami obcemi, a sejm
131	9 z góry	lawy	lasy
134	17 z góry	dGyby	Gdyby
139	19 z góry	przechdzili	przechodzili
	Nr. 10.		
148	5 z dołu	zotsało	zostało
154	19 z góry	2. VX.	2. IX.
154	10 z dołu	wojenych	wojennych
155	3 z dołu	każdej stronie	każdą stronę
157	3 z góry	mesięcy	miesięcy
159	18 z dołu	polski - głogowskich	polsko - głogowskich
160	13 z góry	ludkość	ludzkość
	Nr. 11.		
166	8 z dołu	powinne	powinny
170	14 z góry	zmięszanemu	zmieszanemu

Treść rocznika „Przeszłości“ z r. 1930.

Zagadnienia kultury językowej: Dr. I. M. W rocznicę śmierci Focha. 98. + H. Ułaszyn. Foch czy Fosz. 145. + Dr. I. M. W odpowiedzi prof. Ułaszynowi. 194. + H. Ułaszyn. Replika na replikę. 195.

Z prasy: Wspomnienia o r. 1920. 159.

Bibljografja. Co czytać o Rosji. 30. + Co czytać o wiekach średnich. 62, 80. + Przegląd najnowszej literatury politycznej Niemiec. 92.

Kongresy: Prace przygotowawcze do Międzynarodowego zjazdu historyków w Warszawie w r. 1933. 125.

Treść NN. 6, 7, 8, 9 i 10 „Przeszłości" z r. 1930.

Wskazówki dla naszych abonentów

Najtaniej i najdogodniej abonować pismo nasze na poczcie, gdyż każdy urząd przyjmuje prenumeratę. Nie pociąga to za sobą żadnego pisania.

Poczta wydaje kwit na wpłaconą prenumeratę, która nie jest droższa, niż w naszej administracji, i regularnie przesyła pismo. Najdroższem i najbardziej niedogodnym sposobem jest przesyłanie pieniędzy przekazem Lepszem jest przesyłanie należności czekiem P. K. O. Takie czeki sprzeda każdy urząd; za przesyłanie się nie płaci. Pojedyńcze numery sprzedają księgarnie kolejowe i kioski.

Adresy i nazwiska należy podawać **całkiem czytelne.** Z powodu niemożności odczytania niektórych nazwisk nie wysyłamy dotąd naszego pisma.